



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Chrystus na górze Oliwnej.

Nad Jeruzalem pomrok się waży,
Cisza się w mieście uspionem ściele,
I tylko cienie znudzonej straży
Sterczą przy ognisk zgasłym popiele...
Chwila świąteczna... Gwiazd mnogich roje,
Jako świeczniki, płoną na niebie...
Lud dzisiaj święta rozpoczął swoje,
O długich modłach i przasnym chlebie.
Gdy już usnęli starzy i mali,
Gromadka ludzi opuszcza mury;
Idzie ścieżyną, kędy w oddali
Widać zarysy Oliwnej góry.
Z uczniami Jezus... Skromną wieczerzę
Spożyli w mieście — przy jednym stole...
Idą... dziękczynne szepcą paćierze —
Świeże westchnienia niesie im pole...
Czemu wśród uczniów Mistrzowych grona
Nie widać chytrej twarzy Judasza?
Zaliż się wzdraga dusza spłoszona?
Zaliż ją pomrok nocy przestrasza?
W tej chwili — Judasz Chrystusa zdradza:
Przed Kaifaszem stawia — dziś — w mieście;
Radzi duchowna i świecka władza —
Judasz srebrników liczy trzydzieście...
Idą uczniowie... trwoga się budzi,
Tęsknością rzewną łzawi im oczy:
Wszak mówił Jezus do Swoich ludzi,
Że już się zbliża ów dzień proroczy.
Że już nadchodzi okropna chwila,
Gdy na skonanie pójdzie Syn Boży:
Więc nie im duszy dziś nie umiła,
Myśl się zamąca, a serce tworzy...
Gdy już na górę weszli Oliwną,
W zadrzewionego Ogrójca cienie,
Rzecz im Jezus z smętnością dziwną:
„Lęk mnie ogarnia i duszne drzenie!...”
A wzięwszy ucnie swe ulubione:
Piotra, Jakóba, młodego Jana,
Rzecz do reszty: „Pójdę w tę stronę —
Wy tu ostańcie w modłach do rana...”
A tamtym mówi z trwogą tajemną:
„Smętna do śmierci jest moja dusza!
Módlcie się tutaj, czuwajcie ze mną,
Boć duch wasz chętny — ciało go skusza!”



Chrystus Pan na górze Oliwnej.

Odszedł... u rośnej przypadł opoki
I, wznosząc dłonie, błaga daremnie:

„Jeżeli takie Twoje wyroki,

Ojczy, ten kielich odsuń ode Mnie!”

A gdy po modłach do Swoich wraca,

Spostrzega uczniów uśpione twarze,

Więc woła: „Piotrze! takażto praca,

Gdy czuwać ze mną chwilę wam każę?

Czuwajcie syny! jeszcze upomnę —

By pokuszenie was nie zachwiało;

Zaprawdę, mówię: bądźcież przytomne,

Boć duch ochoczy, lecz słabe ciało!”

I odszedł zasię modlić się szczerze

I, potem zroszon, błaga: „O Panie!

Odsuń ten kielich, usłysz pacierze” --

Albo niech woła Twoja się stanie!”

Powrócił znowu do towarzyszy;

Widzi: gromadka uczniów zaspana!

Więc ich zaniechał — i w nocnej ciszy

Modlił się znowu, wzywając Pana.

Az, gdy zmożony prośby długimi,

Omdlał — jasności twarz Mu olśniły!

Bóg Mu anioła zesłał ku ziemi,

Krzepić otuchą zesłane siły.

A pokrzepiony, z wiarą i mocą

Szedł, aby uczenie obudzić Swoje.

„Wstawajcie, mili! dzisiejszą nocą,

Ujrzymy straży hełmy i zbroje!

Wstawajcie, — pójdzmyż! Bliską godzina,

Kiedy Bóg - Człowiek zdradzony będzie:

Albowiem, o czem Pismo wspomina,

Spełnić się musi — zawždy i wszędzie!...”

Alfred Ludowski.



O PANOWANIU NAD ZACHCIANKAMI.

Pragnę z wami pomówić o pewnej sprawie, dotyczącej wewnętrznego życia każdego człowieka, jego życia duchowego. Stosowna to pora — koniec Wielkiego postu, kiedy wielu z naszych czytelników odbyło rekolekcje, więc zastanawiało się nad swymi grzechami i błędami.

Chodzi mi o to, aby zwrócić waszą uwagę w kierunku rozwinięcia w sobie pewnej władzy, która w znacznej mierze ułatwi unikania grzechów, a zarazem uszlachetni, podniesie w nas godność ludzką, wykształci i utrwali siłę woli.

Każdy zauważył w sobie samym ciągle prawie zjawianie się rozmaitych chęci i zachcianek. Niektóre z nich bywają ciągle i trwają dłużej, inne są przelotne, przez chwilowe wrażenia wywołane; jedne szlachetne, z zacnych pobudek pochodzące, inne przeciwnie — szkodliwe, krzywdzące, wprost do złego prowadzące.

Bardzo często zjawia się ich kilka naraz i bywają sprzeczne, a nawet wbrew przeciwne sobie.

Z wyboru tych chęci i zachcianek, z przeciwwagi jednej z drugimi — wypływa czyn, od naszej już zależący woli.

Chcę naprzykład nauczyć się lekcji: chęć tę wywołało we mnie poczucie obowiązku, lub pragnienie wiedzy, lub obietnica dana rodzicom — mniejsza o powody! zabieram się do nauki — aliści zaświeciło słońce wesoło — uczuвам uagle zachciankę rzucenia

książki i udania się na spacer. Następuje starcie dwóch chęci — która zwycięży?

Zauważyć łatwo, że istoty nie posiadające inteligencji np. zwierzęta i małe dzieci, ulegają natychmiast każdemu zachciankom czy popędowi, rzucają się od razu na rzecz, która wzbudza ich pożądlivość lub ciekawość. A właśnie rozwój inteligencji, rozwój władzy sądenia polega na tem, aby ze sprzecznych chęci i zachcianek wybrać dobrą, pożyteczną, szlachetną — a nie pozornie lub na razie przyjemną, lecz czczą, szkodliwą lub złą.

Nie dość jednak umieć osądzić, co gorsze a co lepsze, trzeba jeszcze wyrobić w sobie wolę, żeby pójść za tą lepszą chęcią a stłumić gorszą. A takiej woli, zawsze stałej i niezłomnej, nie można stworzyć w sobie od razu, trzeba ją powoli od dzieciństwa wyrabiać.

Jednym z takich sposobów, najskuteczniejszym może, jest ciągle panowanie nad swymi zachciankami przelotnymi i drobnymi, wstrzymywanie się od ich spełnienia, choćby nie koniecznie były złe, lecz obojętne. Przez taką gimnastykę woli w rzeczach łatwiejszych, nabiera się wprawy i mocy w tłumieniu silniejszych i gorszych pokus, któreby naszą duszę i godność plamiły.

Ulegając zaś z łatwością tym rozmaitym drobnym zachciankom, dojsć możemy do takiego osłabienia siły woli, że nie będziemy mogli się oprzeć złym chęciom i wpływom.

Pamiętajmy, że i w dobrem i złem działa prawo rozwoju, i w jednym i drugim nie od razu, lecz stopniowo doskonalili się człowiek lub pogrąża, więc nie trzeba lekceważyć drobnych, codziennych zwycięstw nad rozmaitemi zachciankami, które odczuwamy, bo one prowadzą do największej i najlepszej władzy — do panowania nad sobą samym.

Wtedy dopiero wyznawane przez nas szlachetne zasady i ideały nie pozostaną skarbem bezwartościowym, lecz rzeczywistym i żywym, bo je w czynach naszych będziemy ujawniali i wykonywali, nie zbaczając z prostej drogi na manowce marnych lub złych popędów i zachcianek.

Pamiętajmy także, że jak dla kształcenia umysłu, tak i dla kształcenia charakteru najodpowiedniejszym czasem jest młodość, bo jak powiedział poeta:

„Młodość taką jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć upływa sama szparko,
Cios jej dluta — wieczno-trwały.”

I. B.

PSIE POLE.

POWIEŚ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Ale oni się zemszczą — trwożnie wtrącił Juda, wskazując oczami na Jarosza i jego towarzyszy, którzy posłyszawszy nazwisko Radonia z Borku, powstawali z ław, a zbiwszy się w gromadkę, szeptali z sobą również i dawali znaki porozumiewające.

— Bądź spokojny — odparł Maćko — pod moją opieką włos ci nie spadnie z głowy. Mam ja jeszcze dosyć miru wśród braci Polan.

Radoń zsiadł z konia wolno, pachotkowie pośpieszyli usłużyć mu przy tej czynności, ten przytry-

mywał konia przy uździenicy, ów podstawił rękę, ażeby rycerz mógł swobodnie stąpnąć na nią, inny podparł pod ramię, inny jeszcze pośpiesznie odzież przyprowadzał do porządku. Rycerz z Borku głośnym był z męstwa i zapalczywości w boju, ale w czasie pokoju lubił roztaczać przepych i nie równał się z każdym. Mówiono ogólnie, że ambitny i chciwy władzy, pragnął zająć urząd wojewody i dlatego starał się ołśnić tłumy, w kąć zapędzić panów na Kurniku, Bninie, Opalenicy, na Szamotułach, nawet na Czarnkowie. Twierdził o sobie, że po kądzieli krew Piastowska w nim płynie.

Maćka poważał Radoń i liczył się z nim, widząc, że po stronie nieposzlakowanego rycerza z Mielżyna połowa Polan stanęłaby przeciw niemu. Dla tego też, ujrawszy teraz z daleka Maćka, choć mu to spotkanie wcale miłe nie było, podszedł żwawo, uśmiechnął się przyjaźnie i powitał uprzejmie:

— Nie spodziewałem się tu was zastać — rzekł na wstępie — tem więcej też raduję się, widząc was przed sobą.

— I mnie błogo — odparł Maćko — dziwi mnie jeno, że wczoraj nie stawiliście się w domu Natana, cała brać, jak na umówionego wiecowała w tym domu.

— Wiedziałem ci ja to — zauważył Radoń — aliści nie mogłem, choć dusza się rwała.

— Czekaliście na gości — wtrącił Maćko, a Radoń podniósł głowę, przeciągle spojrzął w twarz mówiącego i zapytał:

— Skąd wiecie o tem?

— Skąd wiem, to wiem — wytrzymując ostre spojrzenie, przez zaciśnięte zęby rzekł Maćko — ale jedną zrobić sobie pozwólcie uwagę: oto przykładacie rękę do złej sprawy.

— Sam odpowiadam za swoje czyny — hardo odpowiedział Radoń — nie wasza rzecz mieszać się tutaj.

— Moja właśnie rzecz nie dopuścić, ażeby się polać miała znów krew bratnia — hamując gniew, który już w nim kipiał, zawołał rycerz z Mielżyna i dodał: — Czekalesz wczoraj na Zbigniewa i tego Jarosza, co to radby całe Mazowsze, z takim trudem przyłączone do wspólnego berła, podburzyć przeciw władcy naszemu. Powiem ci więcej jeszcze: oto chcialesz, korzystając z wiecu, który ty zwołalesz, boć przecież inaczej nie przybyliby wszyscy, nawet z odległych stron pod Świętą Górę dla tego, że Juda powrócił z towarami, — chcialesz ukazać nam Zbigniewa i zbuntować brać rycerską. Nie powiodło się, więc dziś wybralesz się na poszukiwania zbłądzonych. Oto ich masz! Ten nikły, mizerny ksiądz, to twój Zbyszko, ten mały, to Jarosz, a reszta niechaj ci sama opowie nazwiska swoje.

— Nie udało się wczoraj, to powiedzie się jutro — wściekle, gryząc wąsa i podpierając się w pas ręką, a dumnie spoglądając na Maćka, odsapnął Radoń.

Natan z trwogą przyglądał się zdala tym rycerzom, a po ruchach poznał, że krew gorąca zawrzała w obu. Podsunął się przeto bliżej i błagalny wzrok skierował na Maćka. Czy pod wpływem tego trwożliwego spojrzenia, czy też z własnego popędu, rycerz z Mielżyna pomitygował się nieco, i wciągnawszy w płuca powietrza, zaczął z innej beczki, łagodnie:

— Bracie Radoniu! Toć my prawie beczkę soli zjedliśmy z sobą, więc przecież dobrą radą posłużyć sobie możemy zawsze. Znam twoją prawicę, znasz i ty moją, a pamiętasz, że nie cofaliśmy się nigdy, gdy przyszło uderzać na karki wrogów.

— To prawda — cicho powtórzył Radoń.

— Na tę dawną przyjaźń naszą, na te rany, któ-

re odbieraliśmy razem, zaklinam cię i błagam: nie wdawaj się w tę sprawę. A jeżeli już chcesz koniecznie, ażeby Zbyszko przywrócony został do czei i praw swoich, to zwołaj wiec, pozwól rozstrzygnąć wszystko przez ludzi rozważnych, ale na pomoc nie wołaj największych wrogów naszych, Prusaków!

Radoń milezał, śnać sumował i zastanawiał się nad słowami przyjaciela i po długiej chwili oczekiwania wyrzucił nareszcie z siebie krótkie i złowrogie:

— Zapóźno się cofać, nie mogę już tego uczynić.

— Więc naprawdę jesteście z Prusakami w zmo-wie? — rozpaczliwie zawołał Maćko.

Radoń znów zamilkł, wzrok chmurny opuścił ku ziemi i wreszcie wymówił wolno:

— Nie było innej rady. U nas za krzywdą Zbyszka nie chciał się ująć nikt, a krzywda jest wielka, bo to syn królewski, syn pierworodny. Sieciech jest wszechwładny, on działa na zgubę naszą, na zgubę kraju, więc zgnieść go trzeba. Jak padalca wstrętne. Sami jesteśmy po temu za słabi, zawezwaliśmy przeto pomocy niemieckiej. Wojewoda Magnus otworzy nam bramy Wrocławia, a potem niech drżą krzywdziciele.

Maćko raz jeszcze chciał spróbować łagodnością:

— Przecież ani ja, ani nasi bracia Polanie przyjaciółmi Sieciecha nie jesteśmy, i my przeto rękę do jego zguby gotowi jesteśmy przyłożyć. Ale nie zrobimy tego sojuszu z ohydnyem plemieniem germańskiem, ani też nie pozwolimy, ażeby nasz chory władca berło miał oddać w ręce zakonnika wtedy, gdy dzielny Bolko, choć chłopię jeszcze, dał już dowody rozumu i męstwa.

— Ten wasz Bolko! — drwiąco zaśmiał się Radoń. — Cóż wy upatrujecie w tym bębnie o pokrzywionych ustach?

Drwiny te podrażniły Maćka, odparł więc sucho:

— Ostatni raz przemawiam i radzę: cofnij się wpół drogi!

— Nie mogę i.. nie chcę — rzucił Radoń.

— W takim razie wiedz, że ja nie dopuszczę do takiej sromoty!

— Ha! ha! — huknął śmiechem rycerz z Borku? — Ty nie dopuścisz? Kimże ty jesteś, Maćku? Oto prochem, który zetrze w rękę Zbyszko przy pomocy Mazurów i Niemców!

Maćko odskoczył o dwa kroki w tył, nogi rozstawił, głowę uniósł w górę, ręką przycisnął pałkę, a oczy ciskały pioruny, gdy głosem, od którego zdrzały mury domu Natanowego, krzyknął:

— Sam! tu! do mnie, kto w Boga wierzy! Bij, wal w imię Chrystusa.

Radoń w pierwszej chwili nie objął grozy położenia, kiedy jednak spostrzegł, że w rękę prawem Maćka błysnęła topór, a lewa mignęła mu uzbrojona w pałkę, natychmiast ustąpił o kilka kroków i przygotował się do odparcia ciosu zabójczego.

— Bronście się Mazury! — zawołał rycerz z Borku, gdy ujrzał, że od zabudowań i bramy nadciągają Maćkowi posiłki.

Natan zrozumiał rozkazy Maćka i czterech pachołków stało w pogotowiu, ażeby na pierwsze hasło uderzyć z impetem.

Zakotłowało na dziedzińcu. Jarosz, objawszy dowództwo nad Mazurami, stanął pod murem i bał się wysunąć naprzód, nie spodziewając się bowiem napaści, wszyscy przybysze w lekkiej tylko, domowej, a wygodnej odzieży używali wywczasu, gdy nagle zrobiła się ta zawierucha. Nie na wiele przydałaby się też obrona, gdyby pachołkowie Natana, którzy już przybliżali się do gromady Jaroszowej, nie byli natrafili na zapórę w postaci służby Radonia. Wyćwiczeni w bojach powiernicy rycerza z Borku, wsie-

dli pośpiesznie na konie, a dawszy im ostrogę, popędzili cwałem na ludzi Natana.

Zdawało się, że zastęp ten roztratuje i zgniecie popleczników Maćka, który tylko okiem rzucił i zrozumiał całą grozę położenia. Większe jeszcze przerażenie odmalowało się na twarzy dzielnego wojownika, gdy spostrzegł zbiegających z odległego zakątka dziedzińcowego a nie przeczuwających nic złego: syna Dobka i wychowawca Kruszynekę.

— Do izby! — krzyknął w ich stronę — to nie dla was zabawa, niech Natan czuwa nad wami.

Dobek z Kruszyneką przystanęli na miejscu i wytężali wzrok i słuch, ażeby objąć i zrozumieć rozgrywające się na placu boju wypadki.

Z ust któregoś z domowników posłyszeli poprzędnio, że walka toczy się o Zbigniewa, syna królewskiego, więc też tem ciekawiej szukali oczami owego mnicha młodego, o którego spór wiedli niedawno pomiędzy sobą.

Ale próżne były te poszukiwania. Zbyszko, chociaż mu nikt z równą przenikliwością, jak to uczynił Maćko, nie zalecał schowania się w izbie Natanowej, sam, z własnego popędu wbiegł do sieni. Po warcach Kruszyнки przebiegł uśmiech złośliwy:

— Zającą ma odwagę ten syn królewski — mruknął — nie takiemu mierzyć się z Bolkiem, który pono zawdy uderza pierwszy i siłą trzeba go powstrzymać.

(d. c. n.)

POD MIKROSKOPEM.

WIECZORY U MEGO PRZYJACIELA.

II.

Nazajutrz, gdy przyszedłem do mieszkania pana S. zastałem lampę, jasno palącą się na biurku, na stolyczku obok ustawiony mikroskop, a w koło niego rozmaite buteleczki i szklaneczki. Pan S. widocznie oczekiwał mnie.

— No, Karolku — zaczął na wstępie — oto upragniony twój przyrząd, zabierzemy się zaraz do niego, co?

— Tak, tak — wykrzyknąłem z radością.

— Najpierw musimy przyjrzeć mu się z bliska i dobrze się z nim zapoznać. Czy wiesz, jakie mikroskop oddaje nam usługi?

— Powiększa rozmaite drobne przedmioty — odpowiedziałem.

— Tak — potwierdził pan S. Oko nasze nie może rozpoznać przedmiotów bardzo drobnutkich, a jest na świecie, jak się o tem niebawem przekonasz, ogromnie wiele takich małych zwierzątek i roślinek, więc ludzie zaciekawieni, chcąc je poznać, posługują się mikroskopem. Ta rurka — mówił dalej pan S. — zaopatrzona jest dwojgiem szkieł, jedno z nich umieszczone jest u góry, drugie na dole; są to szkła bardzo silnie powiększające. Chcąc coś przez mikroskop obejrzeć, kładziemy przedmiot, który ma być oglądany, na kawałek zwyczajnego szkła, przykrywamy z wierzchu drugim szkiełkiem, dlatego żeby oddech nasz nie zdmuchnął maleńkiego i lekkiego jak pyłek przedmiotu, i kładziemy oba te szkiełka na tę półeczkę, którą tu widzisz pod rurką — a oko nasze przykładamy do górnego szkła.

— To już coś leży na tej półeczce — wykrzyknąłem, spostrzegłszy dwa szkiełka, czy można obejrzeć?

— Naturalnie, ale wpierw spojrzij na nie gołym okiem i powiedz mi, co dostrzegasz?

W Niedzielę Palmową.



— Kilka drobniutkich białych pyłków — odpowiedziałem.

— A teraz popatrz na nie przez mikroskop.

— Oddawna już czekałem na to pozwolenie!

Pośpiesznie przyłożyłem oko do rurki i ujrzałem znaczną ilość drobniutkich muszelek rozmaitego kształtu i wielkości.

— Widzę prześliczne muszelki! — wykrzyknąłem z radością.

— A zaręczam ci, że nie wiesz, na co patrzysz — odpowiedział mi na to pan S.

— Na muszelki — twierdziłem stanowczo — podobne do tych, które znajdowaliśmy latem nad strugą, tylko mniejsze.

— Otóż te muszelki, które widzisz, to jest kawałek kredy.

— Kredy? — wykrzyknąłem zdziwiony.

— Tak! kredy, tej samej, którą piszesz na tablicy w klasie. Zaraz się możesz przekonać.

I pan S. w moich oczach uszkrobał scyzorykiem odrobinę kredy z dużego kawałka leżącego na stole — i umieściwszy te okruszyny na szkiełku, położył pod szkło mikroskopu.

Spojrzałem po raz drugi.

— Cóż widzisz? — zagadnął mój przyjaciel.

— Znowu muszelki, najrozmaitsze, większe i mniejsze, całe i pokruszone, śliczne! Więc kreda składa się z takich muszelek?

— Tak, to są skorupki drobniutkich ślimaczków, które żyły kiedyś, kiedyś, bardzo dawno w morzu. Istotki te nazywały się *korzenionózkami*.

— Panie, mój drogi, niech mi pan opowie, jakim sposobem utworzyła się z nich kreda?

— Otóż korzenionózki żyły sobie w morskich głębinach, spokojnie bujały na falach, a gdy który ze ślimaczków życie zakończył, skorupka jego, opustoszone mieszkanie, opadało na dno morskie. I tak opadały wciąż te skorupki jedna za drugą, jedna za drugą, aż na dnie morskiem utworzyły grubą warstwę, pokład kredy.

Fale morskie uciskając ją, zgmiotły na ściśłą, zbitą, twardą masę — taką, jak ten kawałek kredy, który trzymasz w ręku.

— To pokład kredy musiał formować się bardzo długo? — zapytałem.

— Naturalnie, całe setki lat, może więcej.

— A ile w nim jest takich skorupek, to pewno nikt by nie zliczył, prawda panie? Nawet nasz nauczyciel matematyki.

— Z pewnością!

— A przecież kredy nie wyławia się z morza — zagadnąłem — w Kieleckiem są pokłady kredy, choć morza tam niema.

— Dlatego właśnie, że znajdują się tam kopalnie kredy, uczeni sądzą, że ziemia tej miejscowości była kiedyś dnem morskiem; wówczas to w falach jego unosiły się te drobne istotki, których skorupki dzisiaj oglądamy.

Byłem zdumiony. Spojrzałem jeszcze raz w mikroskop — a potem na kawałek kredy, leżącej na stole, aby się upewnić, że widzę dobrze.

— Na dzisiaj dosyć mikroskopu — rzekł pan S. odsuwając przyrząd — jutro obejrzymy znowu coś nowego. A cóż, czy mój przyrząd nie zawiódł twego oczekiwania? Spodziewałeś się może czegoś ciekawszego, mój panie studentie?

— Ależ to było ogromnie ciekawe! Dziękuję panu bardzo — mówiłem ściskając pana S. A jutro co będziemy oglądali pod mikroskopem?

— Nie powiem ci, wołę, żebyś miał niespodziankę — mówił mój kochany przyjaciel, uśmiechając się tajemniczo.

Wróciłem do domu uradowany i nie mogłem doczekać się następnego wieczoru!



(Dalszy ciąg).

teraz, towarzysze — mówił Piotr — wyobraźmy sobie, że Brock jest siedliskiem wszelkich ziemskich szczęśliwości i pędźmy doń, co siły w nogach. Dobrze?

— Naturalnie! Rozumie się! — odpowiedzieli.

— A więc: raz, dwa, trzy! nakładać łyżwy!

Ben, wiążąc rzemyki łyżew, uczcił Haarlem przemową:

— Żegnam cię, stolico tulipanów! — wołał. Snać zapisano w księdze przeznaczeń, że nie ujrzą cię długo oczy moje, ciebie i twojego sławnego tulipana czarnego. Nie zobaczę obrazów; nie usłyszę organów nieporównanych; po powrocie do kraju powiem moim rodakom: oto nie zrachowałem pięciu tysięcy głosów organowych, które drgały pod tchnieniem Mozarta i Händla; nie widziałem Haarlemu i nie jadłem obiadu!

Jeden Lambert mógł ocenić wymowę Bena, inni sunęli już po lodzie w milczeniu, które Karol pierwszy przerwał;

— Co to? Aż tutaj spotykamy znowu tego obdartusa. Wszędzie go pełno. Zobaczycie, że kapitan zatrzyma nas, abyśmy mogli uściskać jego prawicę.

— Tak; groźnym jestem kapitanem — zaśmiał się Piotr. Gdzież jest ta moja sympatya? Nie widzę jej... Aha! masz słusność, pędzi, jak szalony.

Biedny Janek. Sił mu już brakowało, ze zmęczenia usta mu zbieleły. Piotr zatrzymał go wołaniem:

— Jak się masz, Janku! Nie poznałeś mnie.

— Ach! panie, jak to dobrze, że pana spotykam.

— Co za poufalość! — wycedził przez zęby Karol. Puścił się naprzód, nie ciekawy dalszej rozmowy między Piotrem i Jankiem.

— Janku, ty masz jakieś zmartwienie, czy kłopot — mówił van Holp; z oczów ci to widać. Może mógłbym ci dopomóc?

— Mam zmartwienie, panie, to prawda, zmartwienie, które nie prędko przejdzie! Ale w tej chwili mam też i kłopot niespodziewany.

Tu urwał, spojrzał na Piotra z bladym uśmiechem w oczach

— Jednakże, zdaje mi się — ciągnął — że dzisiaj to Jan Brinker może przysłużyć się Piotrowi van Holp.

— A to w jaki sposób?

— Oddając ten woreczek.

Mówiąc to wyciągnął z kieszeni portmonetkę z żółtej skóry.

— Wiwat! Bravo! — zawołał jednym głosem chór towarzyszy Piotra.

— Niech żyje Jan Brinker! — zawołał Ben.

— Dziękuję ci! dziękuję Janku — mówił kapitan z serdecznością, aż rozpromieniła się twarz znalazcy.

Okrzyki chłopców zauważył Karol, nie wrócił jednak do kolegów, tylko zatrzymał się, czekając aż go dogonią.

Piotr na bok odciągnął Janka.

— Powiedz mi, skąd wiedziałeś, że to moja portmonetka?

— Wczoraj płacił mi pan za naszyjnik; widziałem woreczek, kiedy wyjmował pan z niego pieniądze.

— A gdzie znalazłeś go dzisiaj?

— Rano ślizgałem się po kanale, kiedy nagle potknęłem się o coś i upadłem na twarz jak długi. Wstałem i rozglądając się dookoła, by wiedzieć, co mi na drodze stało, dojrzałem tę portmonetkę leżącą przy łodzi, uwięzionej w lodzie.

— Aha! przypominam sobie teraz — zawołał Piotr — skakaliśmy przez łodzie i w tem miejscu musiałem wyciągnąć z kieszeni chustkę, a z nią wysunął się woreczek. Mój Janku, oddałeś nam wielką przysługę, bo właśnie wracaliśmy do domu, z powodu braku pieniędzy. Teraz z jakąż przyjemnością podzielę się niemi z tobą.

— O nie, panie van Holp; niech pan nawet nie traci czasu na namowę, bo ja nic z tych pieniędzy nie przyjmę.

Słowa te były wypowiedziane tak szczerze, tak stanowczo, że Piotr umilkł i tylko serdecznie dłoń Janka uściskał.

— To powiedz mi przynajmniej — odezwał się — jakie masz zmartwienie?

— Ach! panie, smutna to historia. Długoby ją opowiadać, spieszę się. Idę do Lejdy szukać doktora Bockmana.

— Doktora Bockmana?

— Tak panie i nie mam chwili do stracenia. Do widzenia, panie van Holp.

— Zaczekaj, idziemy w jedną stronę. Hej! koledzy, wracamy do Haarlem?

— Ależ wracamy! rozumie się!

I popędzili, przywołując Karola, który musiał ich teraz dopędzać. Na czele gromady sunęli Piotr i Janek.

— My także będziemy w Lejdzie. Jeżeli idziesz tam tylko z poleceniem do doktora, to mogę cię wyreczyć.

— Bardzo byłbym panu za to wdzięczny! Nie o drogę mi chodzi, ale o matkę, którą musiałem zamą w domu zostawić.

— Chora? — spytał Piotr.

— Nie ojciec chory. Czy pan o tem nie słyszał. Przed dziesięciu laty spadł z tamy i rozum utracił. Wczoraj wieczorem matka klęcząc przy kominie, rozdmuchiwała ogień, kiedy ojciec nagle pochwycił ją za ramiona i chciał wrzucić w komin. Krzyknęła strasznie, a on śmiał się, nie wiedząc, co czyni. Byłem na kanale, kiedy krzyk matki usłyszałem. Wpadłem do domu, już suknia paliła się na niej. Rzuciłem się, by ją wydrzeć z rąk ojca, ale on taki silny, że odrzucił mnie od siebie jednym ruchem ręki. A matka wołała ratunku. Cóż miałem robić? Wody w domu ani kropli, nie było czasu iść do studni. Chwyciłem za rękę ojca ale i na to nie

zważał, a śmiał się tak strasznie. Jedną ręką trzymał matkę, drugą wyrwał mi rękę tak nagle, że upadłem na wznak. Wtedy wbiegła Hania! Ojciec nas uratował. Jaki ma rozum! Wyjęła z szafki kawałek ciastka, ojciec niezmiernie je lubi i podsunęła ojcu. Wtedy natychmiast puścił matkę i Bogu dzięki, jest tylko trochę poparzona. Szczęście to jeszcze wielkie, że na kominie tylko torf się palił, nie było on tak silnego płomienia. Mój Boże! nie powinieneś może tego opowiadać; mój ojciec tu niewinny, chwała mu. Kiedy miał zdrowie, muchy by na niego skrzywdził!

Opowiadanie Janka do głębi serca wzruszyło młodego van Holpa. Nic mu na razie nie odpowiedział, bo rozumiał dobrze, że słowa pociechy na takie nieszczęście nie znajdzie.

Przez chwilę sunęli po lodzie w milczeniu.

— Tak, to straszne! — odezwał się wreszcie Piotr. — A dzisiaj, jak zdrowie twego ojca?

— Nie polepszyło się.

— Czemu szukasz doktora Bockmana? W Amsterdamie mamy bardzo dobrych lekarzy. Bockman leczycy tylko bogatych i ci nie raz daremnie na niego czekają.

— Pan Bockman obiecał mi, wczoraj obiecał, że przyjdzie do mego ojca za tydzień. A tu wczoraj nastąpiło takie pogorszenie, że nie możemy tak długo czekać. Biedny ojciec umrze. O! panie Piotrze, czy zechcesz powtórzyć doktorowi, co ci mówili i błagać go, aby przybył jak najspieszniej. On przyjdzie, on jest taki dobry.

— Dobry? — zdziwił się Piotr. — Mówią o nim, że ma najprzykrzejszy charakter w całej Holandii.

— Bo jest szorstki i ponury, a jego głowa ciągle pracuje. Ale on ma dobre serce, wyczytałem to w jego oczach, kiedy mi powiedział: „przyjdę, mój chłopcze!” Przypomnij mu panie, jego obietnicę a przyjdzie niewątpliwie.

— Życzę ci tego z całego serca! teraz rozumiem, że śpieszno ci do domu. Gdybyś potrzebował jakiej pomocy, proszę cię. Janku, udaj się do mojej matki. Powiedz jej, że ja cię do niej przysyłam. Ale zanim się rozejdziemy, weź, Janku, ode mnie kilka florenów, to już nie znaleźne, ale dar od przyjaciela, któremu odmówić nie możesz.

— Nie, panie van Holp, nie mogę — potrząsnął głową przecząco Brinker. Gdybyś wiedział o jakiej dla mnie robocie, byłbym ci niezmiernie wdzięczny. Szukałem już pracy wszędzie i kazano mi czekać do wiosny.

— Jak to dobrze, że mi o tem wspomniałeś! — zawołał Piotr. Właśnie w tych dniach ojciec mój mówił, że gdyby znalazł zdolnego robotnika, dałby mu pracę. Chce wyrzeźbić oddrzewia do letniego pawilonu, a że robota twego naszyjnika bardzo mu się podobała, więc może będziesz miał w tych dniach zajęcie.

Jankowi oczy zaświeciły z radości.

(d. c. n.)

Kolej na Bajkale.

Za Irkuckiem, stolicą Syberyi wschodniej, leży olbrzymie jezioro o podłużnym, sierpowatym kształcie. Największy to zbiornik słodkiej wody w Azji, bo ma długości 640 kilometrów, przy szerokości od 32 do 85 kilom. w niektórych miejscach, powierzchnia jego zajmuje przestrzeń prawie równą Szwajcarii.

Jezioro to leży właśnie na przecięciu wielkiej kolei żelaznej syberyjskiej. Kolej obwodowa do

oła jeziora jeszcze nie ukończona, obecnie więc szybszego przewozu wojsk do Mandżuryi, urządzono w poprzek jeziora tor relsowy, ułatwiający równie przewóz żołnierzy i bagaży.

Rycina nasza przedstawia właśnie układanie tego toru, który ma 45 wiorst długości.

Komunikacja relsowa po lodzie nie jest nową, istnieje w Kanadzie i w Europie. Urządzają ją co roku między Petersburgiem a Kronsztadem, jest nader dogodna, bo rolę głównego inżyniera gra róz, utrwalający z łatwością za pomocą polewania podkładki na równej powierzchni lodu. Na Bajkale urządzenie takiej komunikacji jest trudniejsze, utrzymanie jej wymaga wielkiej pilności, bo lód na Bajkale wskutek wahaniasię poziomu jego wód — jest ruchomy, przez co powierzchnia lodu często pęka, tworząc dość szerokie szczeliny.

Pomimo tych przeszkód przeprawa przez Bajkał bywa się dość szybko, a w środkowym punkcie stał budynek z kuchnią, gdzie można się ogrzać i dostać ciepłej strawy.

Gdy jezioro oczyści się z lodów — komunikację przemyślać będzie wielki statek — prom, mogący wabrać kilkanaście wagonów wprost z brzegu.

Na placu boju na Dalekim Wschodzie w ciągu ostatnich dwóch tygodni nie zaszło nic stanowczego. Japońska państwa sprowadzają swoje wojska, zbliżając się do rzeki Jalu, ale bitwy lądowej nie było. Pancerniki japońskie bombardowały kilkakrotnie Port-Artura i Władywostok.

O zbieraniu kart pocztowych.

Spore grono naszych czytelników zajmuje się zbieraniem kart pocztowych ilustrowanych, dlatego też nie bez pożytku będą dla nich uwagi o tworzeniu zbiorów pocztówkowych, zamieszczone w numerze lutowym, wychodzącego od Nowego Roku w Warszawie miesięcznika „Listek,” poświęconego miłośnikom pocztówek.

Pocztówki, zbierane bezmyślnie w tym celu tylko, aby się mógł popisać przed kimś ilością posiadanych kart, nikomu pożytku żadnego przynieść nie mogą; ale gdy do kolekcjonowania przystępujemy z określonym naprzód zamiarem, to karty ilustrowane mogą się stać łatwym i przyjemnym środkiem pomocniczym przy nabywaniu różnych potrzebnych w życiu wiadomości.

Przedewszystkiem należy zbierać pocztówki z wizerunkami wielkich i sławnych ludzi, którzy się wyróżnili czy to nauką, talentem, czy zdolnościami wynalazczymi. Rozumie się, nie dość jest posiadać podobiznę wielkiego człowieka, ale trzeba wiedzieć jeszcze, co on takiego zrobił, czem się zasłużył, czem się wyróżnił, że go ludzie wielkim nazywają.

Dalej powinniśmy zbierać widoki i typy ludowe zarówno kraju rodzinnego, jak i innych. Zbiory takie mogą urozmaicić i uprzyjemnić naukę geografii, która nie tylko nie jest nudną, ale przeciwnie, niezmiernie zajmującą nauką, bo cóż może być ciekawszego od wiadomości o różnych krajach, o ludach te kraje zamieszkujących i państwach, jakie one stanowią?

Układać wreszcie zbiory należy z pocztówek z podobiznami lub fotografiami piramid, wulkanów, wodospadów, lodowców, grot, kopalni, roślin, zwierząt krajowych i zagranicznych, gmachów odznaczających się pięknnością, obrazów lub rzeźb wybitnych artystów, bo karty ilustrowane tego rodzaju, rozsze-

rzają krąg naszych wiadomości i dają nam pojęcie o różnych pożytecznych rzeczach, które bezpośrednio oglądać nie możemy.

Tak prowadzone kolekcjonowanie kart, przestaje być bezmyślną zabawką, a staje się środkiem, kształcącym dla zbierającego i dla tych, co takie rozsądne zbiory przeglądać mają sposobność.

Sprawozdanie z konkursu pomysłowości.

Pierwszy konkurs pomysłowości ogłoszony w N-rze 43-cim roku zeszłego, od razu zyskał przychylnie przyjęcie wśród czytelników „Wieczorów Rodzinnych.”

Z pomiędzy kilkudziesięciu nadesłanych zadań, jak to ogłosiliśmy w sprawozdaniu wstępnem, podanem w N-rze 50-ym, do druku zalecone zostały łamigłówki *dwudziestu* czytelniczek i czytelników.

Druk wyróżnionych zadań konkursowych rozpoczęliśmy w N-rze 50-ym roku ubiegłego i skończyliśmy dopiero w numerze dziewiątym z roku bieżącego.

Ogółem wydrukowane zostały w numerze i w dodatku 32 zadania, z tych Redakcja *nagrodziła*:

Zadania kłębkowe ułożone przez **Filologa**.

Łamigłówkę nutowo-latarzkową **Stasia z Grocholic**.

Łamigłówkę rebusową **J. Weysenhoffa**.

Łamigłówkę węzową **Amundsena**, i

Łamigłówkę obrazkową **Płoczanina**.

Pochwałę otrzymali: H. Krukowska za łamigłówkę na zdania z ukrytymi nazwami dawnych godności; W. Suchodolski za zagadkę obrazkową; Ego za łamigłówkę wiatraczkową; Rozetka za figiel liczbowy; Wanda Weysenhoffówna za łamigłówkę paciorkową; Gosposia za łamigłówkę tarczową; M. N. za łamigłówkę zegarowo-literową; Żabka z nad Rosi za łamigłówkę wyrazową; Muszka z Krakowa za łamigłówkę zegarową.

Głosowanie czytelników największą ilość dobrych stópni, bo aż 42, przyznało „Liczbówce” **Wacława Świrskiego**, umieszczonej w N-rze 50-tym „Wiecz. Rodz.” z roku ubiegłego. Tym sposobem *nagrodę imienia czytelników* „Wieczorów” otrzyma W. Świrski.

Wszystkich *nagrodzonych*, zamieszkałych poza Warszawą, prosimy o przysłanie dokładnych swoich adresów i 2 marki pocztowe za 14 kop. na koszt przesyłki nagrody.

S Z A R A D A .

uł. Stinks.

Druga pierwsza — zdradliwa w morzu dla okrętu,
Wspak druga plus pierusza, nazwa instrumentu,
Zaimkiem znów jest *trzecia*, władca wreszcie *cały*,
Co panował w Egipcie; przed nim ludy drżały.

NOWY REBUS.

uł. Pegaz Skrzydlaty.

NI.. EGO.. ŚĆ... DŁUG
OWIED.. NY.. M.. DOM
UN... IENA... PR.. ZY



SI. E... NIK... O... MU.

Z pozostałych liter powyższego zatartego napisu, nie dodając nic ani ujmując, odczytać przysłowie skandynewskie.



Układanie toru kolejowego na Bajkale.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

Szarady: Ko — cio — łek.

Arytmogryfu: 1) Malczewski. 2) Indyk 3) Colebes.
4) Kraków. 5) Iwanhoe. 6) Ecuador. 7) Wille. 8) Inwalid. 9) Czapa. 10) Złap.

Początkowe litery tych wyrazów tworzą nazwisko:
Mickiewicz, końcowe — Padarewski.

Od Kolonii Letnich.

Dwudziesty trzeci rok z rzędu wypada nam odwołać się do ofiarności publicznej, w celu zapewnienia dzieciom najuboż-

szej ludności Warszawy w ciągu lata r. b. dobrodziejstw świeżego powietrza i zdrowego posiłku.

Zwiększając corocznie liczbę dzieci wysyłanych na wieś staraniem Kolonii Letnich, w roku ubiegłym dosięgnęliśmy pokaźnej cyfry 3000, która jednak nie czyni zadość potrzebie.

Kolonie Letnie dotychczas istniały i rozwijały się kosztem zbieranych ofiar i w tym roku przystępują do roboty z niezłomną nadzieją, że oczekiwania ubogich rodziców, nie mogących własnymi środkami ratować swych dzieci, zawiedzione nie będą, a liczba wysyłanych na wieś przewyższy dotychczasową.

Ofiary składać prosimy w biurze Towarzystwa Kolonii Letnich, oraz w redakcyach pism.

„Wieczory Rodzinne” jak zwykle w przyjmowaniu ofiar jaknajchętniej pośredniczyć będą i przypominają, że w latach poprzednich nasi czytelnicy z drobnych swych oszczędności składali na ten cel po kilkadziesiąt rubli.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał II dla uniknienia zwłoki w przesyłce pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Chrystus na górze Oliwnej, wiersz przez Alfreda Ludowskiego (z ryc.) — O panowaniu nad zachciankami. Psie pole, powieść Włodzimierza Trąpczyńskiego. — W Niedzielę Palmową (z ryc.) — Pod mikroskopem (z ryc.) — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Kolej na Bajkale (z ryc.) — O zbieraniu kart pocztowych. — Sprawozdanie z konkursu pomysłowości. — Łamigłównki i rozwiązania. — **Dodatek:** Portret Frania, wiersz przez Lacha (z ryc.) — Moje opowiadanie przez Zofię Bukowiecką. — Prima aprilis, wiersz p. Radę. — Dary, przekł. M. G. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Obowiązek, powieść dla młodzieży przez Julię Piasecką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Ценаурою. Варшава 9 Марта 1904 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

Portret Frania.



Dalej zwawo,
W lewo, w prawo,
Bez długiego rozmyślania,
Wnet, raz, dwa, trzy,
Jak się patrzy,
Wyrysujem portret Frania!

Że wypadnie
Niezbyt ładnie, —
To w tem niema naszej winy,
Czemuż brudny
I nieschludny
Chodzi tak całe godziny?

Potargany,
Zmorusany,
Gdy go zabrać chcą do mycia,
Zmyka Franio
Gdzieś przednianię,
Trudno dobyć go z ukrycia.

Więc dzień cały
Franio mały
Nieraz brudny jest szkaradnie.
A jak wiecie,
Na portrecie
Musiwszystko być dokładnie...

Lach.

Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Historya o wielkim królu.

„W nurtach Elby i Sali, wśród dniewprowych wó
Któż to słupy żelazne tam bije?
To Bolesław mąż Chrobry, ludów swoich pan dobry...”

Słusznie się ta pochwała należy Bolesławowi, bo też dobrym był panem, chrobrym był rycerzem, mądrym był monarchą syn Mieszka i Dąbrówki.

Mieszko mówił synowi: Dokończ mojej pracy, pokonaj granicznych rabusiów, oswobódź Słowian z nad Łąby.

A Dąbrówka dopowiadała: „Buduj kościoły, nawracaj pogan, niech ziemia Polan będzie po wieki wieków strażnicą wiary Chrystusowej.

Nie nowiną dla młodego księcia ta mowa rycerska. Oddawna roił on śmiałe plany. Zbrata lud Słowian, weźmie je pod swoją opiekę, wiedział, że dla tego wyniósł go Bóg na króla.

Skąd wiedział? kiedy ta myśl błysnęła w młodej głowie księcia? — zapytacie. Posłuchajcie, było to tak.

Właśnie Bolesław wyrastał z lat dziecięcy gdy do niemieckiego miasta Kwedlinburga zjechał cesarz Otto III-ci z wielu uczonymi i cnotliwymi mężami, a dla uczczenia cesarza przybył tam też książę czeski i nasz Mieszko z młodzieńskim synem.

Należy każdemu oddać sprawiedliwość i nawet nieprzyjaciół, gdy ci postępują szlachetnie, należy się więc ta sprawiedliwość także niemu monarsze. Cesarz Otto pracował szczerą postępowością świata i otaczał się cnotliwymi przyjacielami, którzy mu dobre dawali rady. Spowiednikiem Ottona był Czech, imieniem Wojciech, który jak dosłużył się on potem macedońskiej korony czynielem zaś Francuz Gerbert, który tak mądrym słynął, że choć w dzieciństwie służył za niewolnika, wybrano go potem na papieża, to jest na głowę wszystkich Chrześcijan.

Ci dwaj świętobliwi mędrcy nie wychodząc z Ottona, oni też razem z nimi naradzali się w Kwedlinburgu nad tem, co czynić należy, aby światło chrześcijaństwa po najdalszych zakątkach ziemi.

— Ktoś zjadł jarę po nam nad brzeg mo...

zaniecie, kto stanie na czele ochrzczonych
pocy ludów,— troskał się cesarz Otto i nauczy-
Gerbert.

Ksiądz Wojciech milczał, spuścił w ziemię oczy
i pochylił głowę. Był Czechem, kochał swój
pragnął więc, aby jego król rozciągał opiekę nad
Słowiańszczyzną, ale Bolesław Rudy
Dąbrówki, który wtedy w Pradze pano-
wował, schęcił do siebie własny naród okrucieństwem

— Nie jemu bronić krzyża! — westchnął ksiądz
Wojciech.

Słuchało tych narad młode pacholę o śmiałym
Bolek Piast przyjechał na dwór cesarski
z Mieczysławem, a chociaż mało mówił, uwa-
niał na wszystko, co widział, i pamiętał o czem
starsi. Nie strzeżono się Bolka, bo chłopię-
dawał, a on mądrym spojrzeniem po-
wójnych wodził i w lot słowa mówione do du-
cha.

— Ja zatknę krzyż na pomorskich błotach, ja
go strzedz będę — zawołał książę Polan, żegnając
księdza Wojciecha.

Zdziwił się kapłan śmiałości chłopca, dziwili się
Bolkowi cesarz i uczony Gerbert, ale nikt nie wy-
śmiewał młodzieniaszka, bo w oczach jego widniał
męzki rozum.

— Dotrzymaj przyrzeczeń a znajdziesz u mnie
łaskę — powiedział Otto.

— Nie zapomnę twej mowy — dodał Gerbert,
i nie zapomniał też Bolesława, gdy został papieżem.

— Dałbym cię nie wszystką krew, byleś spełnił
co obiecujesz — rzekł ksiądz Wojciech i pobłogosła-
wił Piastowicza na dalszą drogę życia.

Od tego czasu upłynęło lat kilkanaście, młode
się porosło w pióra. Umarła Dąbrówka, umarł Mie-
czysław. Bolesław liczył już dwadzieścia pięć wiosen,
gdy po śmierci rodziców zasiadł na Piastowej sto-
Sę zepł w nim duch, ale choć stał się rozwa-
we wszystkim, co czynił i postanawiał, choć
n na jego ostojeństwa, nie zapomniał prze-
te, chłopięciem na zjeździe w Kwedlin-
przyłki by obrońcą Chrystusowej wiary.

Wprzód jednak pomyślał, jak ład w dziedzictwie
kin utrzymać, jak to dziedzictwo od złych
w bronić, dobrym gdy się da dopomódz, jak
erotę i sprawiedliwością przyświecać. Srogi
nek obił sam z sobą, ażali nie uroni czego
wskazywały na jego pracę i chwałę, ażali owszem doda coś
on młody Piastowicz.

— On młody Piastowicz, jak ci wszyscy, z któ-
dobre swój wódz. Silny, barczysty a smagły, kie-
warszał w gniewie, rzeklibyście: — Jastrząb
kiedy spoglądał dumnie po swoich zie-
cie: — Co ci on! — kiedy miłosiernie
pominał głębiem gruchaniem zdała się

im był syn Mieczysława i Dąbrówki, młody
Piastowicz, ale ten młody człowiek równo m ce-
mocy i dostojerowie

panowanie nad Niemcami a jako kokosz zgarnia po-
skrzydła pisklęta, które się jej mową odzywają, tal-
on da opiekę wszystkim ludom rozumiejącym słowo
Na to postawił go Bóg wysoko, aby objął wzrokien
plemiona pobratymcze, spoił je, mocnemi uczynił
nauczył w jedno zład się państwo i następcom poka-
zał, jak mają państwem tym rządzić.

(d. c. n.)

Prima aprilis.

Wesołość u Mani! Przybyły panienki:

— No, zwiedz nas Marylko! lecz próżna ochota!

— Co, może spróbujesz?... — Podarte sukienki

U Jadzi i Zosi! — Ej, znana to psota! —

— Halinko, list przyszedł! — Zaniechaj starania!

Wszak „prima aprilis,” nie wierzę, nie wierzę! —

— Ach, Boże, mój Boże! — frasuje się Mania,

No, jakżeż was zwiode, gdy każda się strzeże! —

Cha... cha... cha... zabawne! żartują panienki.

Wtem Hania zawoła — Ach! myszka tam stoi!

Aj, gwałtu! już blisko! dotyka sukienki!

Krzyk, tumult. Aż zbladły, tak każda się boi!

A Mania w śmiech teraz: — „Co... psota nielada!

A — „Prima aprilis,” wszak moja to sprawka!

Ot, zwiódłam panienki, jak w dniu tym wypada!

Przypatrzcież się myszce — to przecież — zabawka!

Rada.



DARBY.

przełożyła z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg).



One podejrzują, zdaje mi się, — że to kra-
dzione pieniądze — powiedziała Antea, powróciwszy
na ulicę do rodzeństwa. Gdybyśmy mieli rękawiczki,
nie posądziłyby nas nikt o nic podobnego! To moje
ręce takie brudne, wzbudziły podejrzenie...

Dzieci weszły do skromnego sklepiku, gdzie
dziewczynki kupiły bawełniane rękawiczki po sześć
pensów para — ale gdy dały złotą gwinę do
zmiany, właścicielka sklepiku obejrzała ją bacznie
przez okulary i powiedziała, że nie ma drobnych;
więc za rękawiczki trzeba było zapłacić tem, co zo-
stało z Cyrylowych pieniędzy, przeznaczonych na za-
kup królików, a za resztę nabyto portmonetkę z na-
śladowanej krokodylej skóry, w cenie dziesięciu i pół
pensów. Potem dzieci próbowały szczęścia w różnych
sklepach, gdzie sprzedają zabawki, perfumy, jedwa-
bne chusteczki, książki i kartki z widokami. Ale nikt
w całym Rochester nie chciał owego dnia mienie im
danej, i tak schodziły od sklepu do sklepu coraz

a Kizia poślizgnęła się i upadła na ulicy, tam, gdzie przed chwilą przejeżdżał wóz z wodą. Wszyscy byli bardzo głodni, a nikt nie chciał im sprzedać jedzenia w zamian za ich gwinee. Popróbowawszy napróżno w dwóch piekarniach, byli już tak głodni — a głód zaostrzyły im jeszcze zapachy ciastek w sklepie, jak zauważył Cyryl — że pod wpływem rozpaczyny ułożyli cały plan kampanii. Weszli do trzeciej z rzędu piekarni, będącej własnością pana Browna — i zanim stojący za stołem piekarz, zdołał przeszkodzić, każde z dzieci porwało po trzy świeże pączki, zgmiotło wszystkie trzy sztuki w brudnych rękach, i ukąsiło coprędzej wszystkie trzy razem. Stały tak szeregiem, z całym tuzinem pączków, i z zapchanymi mocno ustami. Oburzony piekarz wyskoczył z za kontuaru.

— Proszę! — przemówił Cyryl z pełnymi ustami, podając gwineę, którą przygotował, wchodząc do sklepu — niech pan sobie z tego odbierze za pączki.

Pan Brown porwał złotą sztukę, popróbowował w rękach a potem schował do kieszeni.

— Wyoście się! — powiedział krótko i ponuro.

— Ale prosimy o resztę! — odważyła się powiedzieć Antea, która celowała w oszczędności.

— Resztę? — powtórzył piekarz! — Ja wam tu dam resztę! Wyoście się precz, i dziękujcie Bogu, że nie posłałem po policyę, żeby was wypytała skąd to macie?

Nieszczęśliwi bogacze dokończyli jedzenia pączków spacerowym ogrodzie, a chociaż były bardzo tłoczne i pokrzepiły na siłach całe towarzystwo, najmężniejsze nawet serce truchlało na myśl o zaczęciu właściciela zajazdu pod *Głową Saracena* w interesie kupna koni i powozu. Chłopcy chcieli już zrzec się tej wyprawy, ale Kizia była dziecięciem z niem różowej ufności, a Antea bardzo uparta, więc i nowość dziewcząt przeważała.

Całe towarzystwo, niewypowiedziane już w owej chwili brudne, pociągnęło pod *Głową Saracena*. Pan Pesemarch stał właśnie na podwórzu, Robert zagał rozmowę temi słowy:

— Słyszeliśmy, że pan ma mnóstwo koni do sprzedania?

Dzieci z góry ułożyły, że Robert będzie prowadził układy, bo konie i powozy kupują zwykle mężczyźni, nie kobiety, a Cyryl już rozmawiał pod *Niebieskim Dzielkiem*.

— Prawdę słyszałeś, panie wojaku! — odrzekł pan Pesemarch.

Był to wysoki, chudy człowiek, z porcelanowo-niebieskimi oczami i wąskimi ustami.

— Chcielibyśmy coś kupić — mówił Robert uprzejmie.

— Wierzę temu, że chcielibyście!

— Może nam pan zechce pokazać, co ma, żebyśmy mogli wybrać.

— Od kogo jesteście? — badał pan Pesemarch. — Was tu kto przysłał?

— Powiem panu wszystko — odrzekł Robert. — Chcemy kupić konie i powóz, a jakiś człowiek powiedział nam, żebyśmy tu przyszli, bo pan jest uczciwy i greczny, ale zdaje mi się, że się chyba pomylił co do grzeczności.

— To mi się podoba, słowo daję! — wykrzyknął pan Pesemarch. — Może mam wyprowadzić całą stajnię, żeby wasza dostojność raczyła ją obejrzeć? A może posłać na miasto, czy niema do zbycia jakiejś szkapy?

— I owszem, niech pan to zrobi — odrzekł Robert — jeżeli to nie sprawi panu kłopotu. Byłaby to wielka grzeczność z pańskiej strony.

Pan Pesemarch włożył ręce w kieszenie i zaczął się śmiać, a dzieciom ten jego śmiech wcale się nie podobał. A gdy się już uśmieł — zawołał:

— Willum!

Zgarbiony chłopiec stajenny ukazał się we drzwiach stajni.

— Słuchaj-no, Willum. Chodź tu i miej oko na tego młodego księcia, on chce zakupić całą naszą stajnię, co do ogona! a pewnie nie ma w kieszeni ani pensa, założyłbym się o to.

Oczy Willuma skierowały się wzgardliwie w stronę, którą wskazywał palec pana Pesemarcha.

— Pewnie, że nie! — mruknął.

(d. c. n.)



ZAGADKA LITEROWA

z Maryampola.

Ma mnie każdy domek, ale nie ma chata,
Znajdziesz mię u dziadzi, ale nie u brata,
Ma mię też dolina, jestem również w drzewie,
Ma mię dzionek każdy, któż z was o tem nie wie?

SZARADA.

uł. Miri dla Róży bez koleców.

Pierwsze drzew dużo, litera *drugie*;
Całe nie wielkie, ani zbyt długie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

Zadania na dobieranie końcówek:

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła,
Tam gdzie nigdy nie bywa,
Pot im leje się z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale!

Skrzynka do listów.

Oj! rozżaliła się gwiazdka maleńka, że w nocy świeci...

Oj! zapłakała samotna piosenka, że z wiatrem leci...

Gdybyż mi świecić, gdy zorza rozdmucha jasność różową!

Gdybyż mi śpiewać dla serca, co słucha, dobre da słowo!

To Konopnicka tak zaczyna śliczną swą „ostatnią piosenkę”, a ja, Jaskółka, która śpiewać nie umiem, myślę z radością, że listy moje, choć proste, nie rymowane, trafiają jednak do *słuchających serc* i przynoszą mi w nagrodę *dobre słowa*. Odebrałam ich dużo w tej skrzynce, odebrałam na przykład od nowej korespondentki **Rozetki** taki śliczny opis wsi, że moja już jesteś, Rozetko, bo kochasz ciemne, wilgotne lasy, przezrocyste wody jeziora i szum szuwarów nadbrzeżnych, kochasz zwłaszcza lud, wieś waszą zamieszkujący, czyż mogę więc nie nazwać cię moją?

Moją jest odtąd i **Stokrotka z nad Wisły** za to, że chorą będąc, w czytaniu *Wieczorów* znajdowała pociechę. Wierszyk podobał mi się, zwłaszcza treścią, rym trochę kuleje, łatwo to jednak wybaczyć jedenastoletniej poetce.

Skrzynka przyniosła mi liścik jeszcze jednej **Stokrotki**. Ten kwiatek wyrósł w gub. Podolskiej, oddawna znam i kocham całą gromadkę tamtejszych korespondentów. Cemu, Stokrotko, nie donosisz mi o swoich braciach, o Różyczce, o Zosiuni, o dobrym wujaszku, czy napisał komedyjkę dla siostrzeńców. Bardzo ucieszył mnie twój list, kto jak wy pamięta zawsze o biednych i smutnych, ten zasługuje, aby mu sercem za serce płacono. Redakcyja wysłała numer, a ja prozę, — ucałuj odemnie Lala.

Masz słuszność, **Rusałko z Częstochowy**, że obowiązek przedewszystkiem; bądź wierną temu dobremu panu, który za sumienną służbę płaci zadowoleniem serca, za lekceważenie jej karze wyrzutami sumienia.

Redakcyja posłała **Niebieskiej Perelce** żadaną powieść, szkoda tylko, że tak późno zgłosiła się po nią Perelko.

Mogłabym zapomnieć **Iris** droga o twoim smutku? Mam nadzieję, że wasz ojciec wróci zdrowsi; donieś mi, gdy lepsze nadejdą wiadomości, i jeszcze jedna prośba, weź udział w konkursie, fałszywa skromność bywa złym doradcą, usługaj raczej Jaskółki i śmiało do pędzła!

Redakcyja dziękuje *czytelnikom „Wieczorów” z Jurkowa* za życzenie jubileuszowe, a Jaskółka pyta przy tej sposobności, co porabia kochana Nadobrzanka.

Co porabia kochana **Beatrycza**, myślałam też nieraz, a tu właśnie znalazła się karta od korespondentki, która chętnie przyjmuje przestrogi. Tylko znów za literę *k* upominać się będę, czemu skracaś ją niepotrzebnie.

Jadzia Ambroziewiczówna przysłała 5 rubli dla najbiedniejszych dzieci. Ach, Jadziu, jakże trudno ocenić, które tysiąca maleństw jest najbiedniejszym! Ja sędzę, że pieniądze twoje należą się dziecku wychowanemu przez złych ludzi, trzeba ratować jego duszę, oddając pod dobrą opiekę, a wyrośnię może na użytecznego człowieka. Bywają jednoliki, które krzywione i targane w dzieciństwie odprostowują się, odprężają i jakoby stwarzają na nowo. To dowód, że *wstrętną duszy jest brzydota zła*. Dziecko, któremu pomożesz, zbierze może resztki sił, aby to zło odeprzeć.

Nie pytaj mnie o moją młodość, **Złota Iskierko**, bo tyle płatałam figlów w dzieciństwie, że zgorszyłybyście się wspomnieniami Jaskółki. Dodałam „Złota” do twego pseudonimu dla odróżnienia od Iskierki, która już pisała do *Wieczorów*.

Kotka z Pilawy umie dotrzymywać obietnic, przysłała więc w marcu 5 kop. na wpisy. Yum Yum nie pisała dawno do *Wieczorów*, za to wszystkie imienniczki twe, Kotki, chętnie pewnie zamienią z tobą karty.

Bardzo miłym jesteś kwiatkiem, **Ostróżko polna** i pragnę, aby dobrze ci było w naszym gronie, ty zaś uściskaj małego braciśzka za pilne czytowanie *Wieczorów*, a sama pamiętaj, że litera *k* winna mieć wysoką łaskę. Biedna literka! tyle moich korespondentów uwzięło się na jej wzrost a bez *k* nie byłoby kochania, ani konika, ani kolendy, ze względu więc na zasługi litery *k* piszcie ją poprawnie.

Szkoda, **Czeremcho**, że zwiedzając Warszawę zapomniałaś o kościołach Starego Miasta, piękne są i dużo drogie znalazłabyś w nich pamiątek. Pozdrowień nie drukują *Wieczory*, bo brak na to miejsca. A co porabia kochany Pałeczek?

Przytulilibym cię do serca, **Mała Sterdynianko**, jestem pewna, że i z ciebie wyrośnie pociecha dla rodziców twojej zaś siostrze, chociaż nieznamą, przesyłam wyrazy głębokiego uznania, należą się one tej, która zapominając o własnym bólu, pracuje dla drugih.

Brawo, **Prymulo**, jest wielki postęp w twoim liście a postęp w dobrem cieszy Jaskółkę, nie darmo widać światło, nie darmo nawołuje do doskonalenia się, prawda, że nie darmo? bo przecież oprócz Prymuli znajdują się jeszcze między memi piskletami takie, które dbać będą o czystość języka, o poprawne zwroty mowy.

Słusznie, **Lilijko**, chwaliśz teatr marynetek, ja także uśmiełam się serdecznie z obrazków w kinematografie, a sztuki, o której piszesz, nie znam. Książka posłana.

Nie znalazłam w Encyklopedyi Staropolskiej odpowiedź na twoje pytanie, **Marylko K.** Należy zawsze życzyć zdrowia, dlaczego jednak życzo go tym, którzy kichają, to wy tłumaczyć trudno. Wyraz fara objaśni redakcyja w Encyklopedyi.

Dostał się **Wilku** do naszej gromady. Nie boi się go Jaskółka, tylko prosi o adres, skoro chcesz Wilku zamieniać po człówki.

Dobra z ciebie wróżka, **Wróżko Łódzka**, zgadłaś trafnie, czemu wolę zostać dla was ptaszkiem, co zaś do pisania powiastek, to i ja będąc w twoim wieku pisywałam je także niewiele było w tych utworach sensu, ale zato wiele nazwy czajnych wypadków i pięknych postanowień. Czemużby taka zabawka szkodę przynieść ci miała, owszem może dobrze wpłynąć na staranność pisma, w którym znać brak wprawy.

Jakżeby mogła nie kochać cię, **Turkawko**, chociażby za to, że ty i twoje koleżanki dążycie do postępu w dobrem. Życzę wam z całego serca powodzenia w tak szlachetnym postanowieniu, karty twojej oczekuje niecierpliwie. A Wróżka i Skowronek czy świergocą już o wiosnie, czy Polna i życzka maluje swoje listeczki na kolor jutrzeńki, boż słońce dogrzewa, czekają na polu skowronka. Słyszycie, wiosna idzie!

Idzie wiosna, **Polska dziewczyno**, nie narzekaj więc że duszno w pokojach ty, szczęśliwa, która żyjesz wśród natury. Duszno dzieciakom w warszawskich suterrenach, o nich myśl, ciesząc się bzami waszego ogrodu, o nich myślcie nie do piskłeta moje, bo kolonie letnie nie wystarczają dla wszystkich. Są różne prace na świecie, ale pracować nad uszlachetnieniem dusz dziecięcych, to najpiękniejsza praca. Gdyby każda z was, staruszek, mieszkających na wsi, wzięła jedno dziecko pod swoją opiekę, jedno dziecko suterren odżywił mlekiem, świeżem powietrzem, zielenią ogrodu, ciepłem mądrego swego serca, kto wie, ile dobrego urosłoby pod temi dobroczynnymi wpływami. Wiem, że nie zależycie od siebie, powinnyście, staruszki moje, robić przedewszystkiem to, czego życzą sobie wasi rodzice, iść za ich radami, oni najlepiej wiedzą, na co mogą pozwolić lub co zabronić trzeba, ale każda miała mi myśl i rzucam ją staruszkom pod adresem twoim, **Polska Dziewczyno**, bo ufam tobie i twoim siostram, że zrozumiecie moje pragnienia, że, jak mówi Konopnicka w wierszu który przytoczyłam na początku skrzynki: „Zorza rozdmuchała już w was jasność” różową i że „serca wasze słuchają”
Jaskółki.

Premium za marzec dołączymy do Nr. 14-go.